



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: KOMEDIA A KOMEDIA

Pisanie o tym, że film francuski nie może wybrnąć z artystycznego impasu, a współczesna komedia znad Sekwany jest płaska i pusta, znudziło się już nawet samym Francuzom. No, ale oni przynajmniej swoje komedie upychają za odpowiednią ilość dewiz za granicą, podczas gdy my, z woli naszej dystrybucji, stajemy przed kasą kinową, a potem, uparcie wmawiamy w siebie, że nie zmarnowaliśmy dwóch godzin oglądając kolejne filmowe przygody Pierre Richarda, jakichś „tajemniczych blondynów w czarnym bucie” czy powroty tychże tajemniczych blondynów, tyle, że już bez czarnych butów, a może nawet bez butów w ogóle.

Tymczasem na przykład cała gałąź współczesnej komedii amerykańskiej - twórczość Woody Allena czy Mela Brooksa (z wyjątkiem wyświeczonego w ubiegłym roku na naszych ekranach „Niemego kina”) - jest nam zupełnie nieznana. Ktoś powie: no dobrze, ale w tamtych komediach tyle purée-nonsensu, abstrakcyjnego dowcipu, groteski, czy to ktoś u nas zrozumie, czy będzie się śmiał? A u Francuzów wszystko proste: kawa na ławę.

Nie ma obawy - zrozumiemy. Tak jak od zarania filmów publiczność doskonale rozumiała sztukę Harolda Lloyd'a, Bustera Keatona czy Charlesa Chaplina. Ba. Ale, po co sięgać do przykładów aż za ocean: czy nasza reklama nadała odpowiedni rozgłos choćby świetnej przecież radzieckiej komedii społeczno-obyczajowej Danieliji - „Mimino”? Jak wielu potencjalnych widzów w związku z tym jej nie obejrzało?

Powiedzmy sobie szczerze: nie ma u nas zbyt wielkiego zaufania do komedii intelektualnej, o poważniejszym ciężarze gatunkowym, dającej do myślenia. Niezależnie od tego, którą stronę świata ona reprezentuje. Oczywiście - nie myślę w tym wypadku o publiczności. Ona - o dziwo! - doskonale wydaje się rozumieć dowcip zarówno sytuacyjny jak i abstrakcyjny. A do wprowadzenia jej w dobry humor wcale nie trzeba odwoływać się do prostych dowcipasów. Przypomnijmy sobie tylko klimat cieszących się przed laty tak wielkim powodzeniem komedii reprezentujących angielski rodzaj humoru z Alec Guinnessem czy też pierwsze, komedie Philippe de Boca'i. Owe „Igraszki miłosne”, „Dowcipnisia”, w których dał o sobie znać talent Jean Pierre Cassela. Podane lekko, rozjaśnione autentycznym francuskim esprit, noszące w sobie piętno intelektualne francuskiej „nowej fali”, z której de

Broca się wszak wywodzi. Do dzisiaj, choć de Broca ima się bardzo różnych gatunków filmowych i odszedł daleko od swych pierwszych filmów, jego komedie mają nadal specyficzny wdzięk. Tak jak choćby wyświetlana aktualnie na naszych ekranach „Komisarz w spódnicy”, komedia błaża przecież, jeśli chodzi o treść, ale zrobiona z kulturą, niepozbawiona liryzmu i ciepła, (choć ma wątek kryminalny z padającym tu i ówdzie trupem). A wzbogacona jeszcze o doskonałe aktorstwo Annie Girardot i Philippe Noireta.

Lecz oto mamy wreszcie francuską komedię naprawdę godną obejrzenia: „Czarne i białe w kolorze”, młodego reżysera, debiutanta w fabule, Jean Jacquesa Annaud nakręconą w 1976 r. i w rok później nagrodzoną „Oscarem” za najlepszy film zagraniczny.

Można by się spierać, co do tego „Oscara”, zadawać pytanie czy aby jury nie zostało za epatowane faktem, iż film pretendował do nagrody pod sztandarem...Wybrzeża Kości Słoniowej. Kinematografii zupełnie w świecie nieznannej, która zresztą istotnie, wraz z RFN, miała swój udział w produkcji.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że „Czarne i białe w kolorze”, jest komedią niecodzienną. Zawarta w niej drapieżna satyra na kolonializm, na wojnę i militarystyczne ciągoty, na dodatek w drobnomieszczańskim ujęciu i rozumieniu budzi w widzach na przemian śmiech i uczucie grozy, skłania do poważnej zadumy i refleksji.

Barwny, egzotyczny z początku „obrazek” z zagubionej gdzieś w Afryce w latach I wojny światowej osady francuskiej sąsiadującej z takąż handlowo-wojskową placówką niemiecką, gdzie życie przebiega na zasadzie właśnie „dobrosąsiedzkich” stosunków, zaczyna nabierać zupełnie innego charakteru z chwilą, gdy na wieść o toczącej się w Europie wojnie, przyjaciele stają się naraz nieprzyjaciółmi i zmuszając do walki okolicznych Murzynów zaczynają prowadzić groteskową mini-wojnę. Głupota miesza się tutaj z zaciętrzewieniem, tchórzostwo z podłością a wzniosłe słowa na temat patriotyzmu, jaki winni żywić tubylcy względem zamorskiej „ojczyzny”, z traktowaniem, na co dzień krajowców na zasadzie bezmyślnych zwierząt. Przy tym wszystkim wyłania się z kolejnych scen przemożna prawda: oto krajowcy coraz wyraźniej widzą słabości i przywary swoich „władców”, a dzisiejszą lekcję będą potrafili odpowiednio spożytkować w przyszłości.

Annaud powiedział m. in.: „Wszystko to, (co dotyczy w filmie białych kolonizatorów) jest smutne, bardzo smutne, ale przede wszystkim głupie, więc - błazeńskie. Stąd ton filmu i nasze wyzwanie: jeżeli współczesny widz zdolny będzie się śmiać z tej bufonady, więcej: jeśli będzie się z niej śmiać całym sercem, to znaczy, że takiej ślepoty już nie ma, że stała się definitywnie anachronizmem. Oby tak było!”

Nie wiem jak we Francji, czy gdzie indziej, ale w polskim kinie słyszałem na filmie bezustanne wybuchy śmiechu. Śmiechu mądrego, rozumnego, takiego, jakiego by sobie pewnie życzył Annaud. A dowcip i humor „Białego i czarnego w kolorze” jest czasem cienki

i niełatwy do rozszyfrowania, rzekłbym - intelektualny. Więc nie bójmy się pustych sal na poważnych komediach.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 5, s. 14.